

Lśnij, póki żyjesz - Festiwal Retroperspektywy

cz. 3

Oglądając wybrane na festiwal spektakle dla dorosłych (przedstawieniom dla dzieci poświęciliśmy osobny tekst, bo zasługiwały na szczególną uwagę), trudno się nie zastanawiać, jak można uratować świat. W czasie gdy w Ukrainie wciąż trwa wojna, poza tym mamy kryzys klimatyczny, a nowa technologia nieodwracalnie wżera się w nasze życie, rujnując relacje i funkcjonujące od zawsze wspólnoty. Uratować świata się pewnie nie da, ale można uczynić życie znośniejszym, tworząc teatr, a na festiwal wybierać tylko takie propozycje, które wyróżnia refleksyjność i wrażliwość.

Zacznijmy od monodramu muzycznego „On(baz)air” Mikro Teatru z Białegostoku w reżyserii Agaty Biziuk. Czułe rekonstruuje on wspólnotę, która rodzi się i lśni na bazarze (na łódzkim gruncie zwanym ryneczkiem). Przenosimy się w klimat lat 90., w czasy przełomu, ale to nie jest spektakl o historii, ani o polityce, tylko o małych, prywatnych światach, o zwykłym życiu, codziennych lękach, radościach, pragnieniach. Poznajemy galerię chwytających za serce postaci, połączonych niewidzialną siecią, a wszystko skąpane jest w stylistyce kampu: z bazarowymi skrzynkami z plastiku, tureckimi dywanami, sztucznymi kwiatami, dewocjonaliami, malowniczymi strojami: od dresów z kresu po sięgający pasa pióropusz (scenografia – Agata Stanula, kostiumy – Karina Custom). Rafał Derkacz, który jest również współtwórcą tekstu, z wdziękiem i lekkością przeistacza się z jednej postaci w drugą – w szczególności zapada w pamięć jego sprzedawczyni ze spożywcza w koszulce „żonobijce”, ze szklanką herbatki w metalowym koszyczku. Matkuje wszystkim i już po samej liście zakupów rozpoznaje status egzystencjalny klientów. Karmi ich zapiekankami, przy okazji dbając, by bilans finansowy wychodził na plus. Charakterystyczny jest „nasz Peruwianczyk” uwięziony w roli egzotycznego „obcego”. Najlepiej jednak pamiętamy opowieść z kwiaciarni. To nie tylko przegląd okazji, z jakich kupujemy kwiaty oraz typów klientów, ale opowieść o miłości, której z powodu depresji nie dało się uratować, pomimo starań nie tylko bliskich, ale i społeczności. Całą paletę emocji przywołuje muzyka i szlagiery wykonywane przez niesamowitego wokalnie Rafała Derkacza (kompozycje oryginalne Franciszek Dziubek). Od „Niech żyje bal” Maryli Rodowicz, przez „Moją fantazję” Fasolek, hity Bajmu, „Czas nas uczy pogody” Grażyny Łobaszewskiej, aż po zamykający spektakl przebój „Łatwopalni”. Derkacz naturalnie wchodzi w interakcje z widownią – obdarowanie jej specjalną bazarową walutą zaowocowało intratnymi transakcjami. W końcu podstawą bazaru, a może i teatru, jest wzbogacająca obie strony wymiana.

W zupełnie innej stylistyce odegrano „Komediantów” Fundacji Autism Team, Klubu Świadomej Młodzieży i Teatru Chorea. Nad spektaklem pracowały aż trzy reżyserki związane z łódzką Choreą: Maja Caban, Małgorzata Lipczyńska i Ewa Otomańska. Spektakl oglądaliśmy w przestronnym, pofabrycznym holu o planie prostokąta, dominowały biel i czerń, czasem pojawiał się cekinowy połysk. Usłyszeliśmy klasyczne teksty – fragmenty „Studium o Hamlecie” Stanisława Wyspiańskiego czy tekstów antycznych filozofów. Teatr jawił się w „Komediantach” jako przestrzeń wolności dla osób, które zmagają się z różnymi trudnościami i nie mieszczą się w wąsko pojmowanej „normie” społecznych zachowań. Na scenie mogą być, kim zechcą: aktorem kina niemego o plastycznych ruchach niczym Charlie Chaplin, ukochanym glonojadem Czarnkiem z akwariem, nieprzejeżdżanym obrońcą prawa aresztującym zbójcę, zbójcą, wróżką, panną młodą w białej sukni. Mogą mówić od siebie albo cytować klasyków. Mogą mówić dużo, mało albo po prostu istnieć na scenie, nie mówiąc nic. Bardzo interesująco wyglądał ruch sceniczny, poczynawszy od hieratycznego wejścia grupy aktorów, przypominającego kantorowską estetykę, z uszanowaniem indywidualnej motoryki i energii poszczególnych aktorów. Wykorzystano nie tylko metateatralność, ale i chwytaki rodem z filmu niemego – reżyserki przechodziły przez scenę z tabliczkami z napisami: „śmiech” czy

„oklaski”, co wywoływało żywe reakcje widzowni. Spektakl zamykał przepiękny śpiew Aleksandry Szalek, niosący się po przestronnym wnętrzu Fabryki Sztuki.

Bombą okazał się spektakl „Fucking Truffaut” w reżyserii Rozy Sarkisian, zaserwowany przez Bliadski Circus Queelectedyw (w koprodukcji z Maxim Gorki Theatre w Berlinie i Teatrem Dramatycznym im. Gustawa Holoubka w Warszawie). Doskonale wpisujący się w panujące obecnie nastroje: przeciążenie wojną w Ukrainie, narracją o niej zarówno w mediach, jak i w sztuce. Jakiś próg został przekroczony, sama myśl o obejrzeniu ukraińskiego spektaklu napawa lękiem, bo układ nerwowy już tego nie dźwiga. Pamiętamy przecież prezentowane na Retroperspektywach „Imperium delendum est” Teatru Łesi Ukrainki we Lwowie, po którym nie dało się ani jeść, ani spać. Ale na kolejny spektakl idziemy. A Bliadskij zrobił przedstawienie właśnie o tym – w jaki sposób wojna wpływa na sztukę i artystów, którzy, próbując opowiedzieć o wojnie, wpadają w pułapkę estetyzacji i sprzedawania tematu w taki sposób, by wzbudzić jak największe zaangażowanie emocjonalne i zainteresowanie widzów. Czyli wpadają w tytułową pułapkę „fucking Truffaut” – według bon motu francuskiego reżysera filmowego, który zwrócił uwagę na to, że „Każdy film o wojnie ostatecznie okazuje się filmem prowojennym”. Obsada z Bliadskiego podejmuje temat brawurowo. Sięga po querrowy kabaret, burleskę, groteskę, drag queen, a nawet bebechy na wierzchu – plastikowe jelita wystające z brzucha jako element teatralnego kostiumu. Alexandra Malatskovskaya, Antonina Romanova, Babcia, Vrona (Arek Koziński), Magda Mosiewicz, Roza Sarkisian nie oszczędzają ani siebie, ani widzowni, badając odporność na feerię dźwięków i barw, przerysowane kostiumy, kicz, mieszanie konwencji, wysokich i niskich tonów oraz jarmarczną dosadność. I to wszystko się broni, bo politycznie dotarliśmy już do takiego punktu, że o rzeczywistości za oknem trudno mówić inaczej. O szaleństwie da się mówić tylko poprzez szaleństwo na scenie. By spróbować choć trochę ukryć bezradność. Osią konstrukcyjną są autentyczne nagrania Antoniny Romanovej – relacje z frontu. To aktorka, która urodziła się jako mężczyzna, ale identyfikuje się jako kobieta. Jednak queerowa tematyka wojny nie obchodzi... Wojna obsadza role tradycyjnie, po swojemu. Sytuacja kipi absurdem już od pierwszego pytania zadanego Antoninie w filmie: „Dlaczego poszłaś na wojnę?”. „To wojna przyszła do mnie” – odpowiada Antonina. „Zresztą w sztuce nie było wakatów, pieniędzy, a tu się pojawiło takie stanowisko”. Jej zadanie miało polegać m.in. na pracy w kuchni, a skończyło się... obsługiwaniem mózdzierza. Absurd niczym z „Paragrafu 22” Hellera. Do tego jeszcze groteskowa scena wyciągania darów dla ofiar wojny, a tam wśród ubrań kreacje i drobiazgi nadające się do kabaretu czy erotycznych igraszek, a nie na wojnę. Bo pomagać trzeba umieć. Bo trzeba myśleć, co się robi. W całym tym obłędzie „Fucking” pozostaje głosem uczciwym i czystym, choć estetycznie kompletnie szalonym.

Poziomem absurdu i szaleństwa luźno styka się z koncertem „Di Strauss Technique”, tylko ton i emocje są tu z zupełnie innej palety. Za reżyserię, muzykę, choreografię, scenografię i tekst odpowiadał Ivo Dimchev z Bułgarii, który zagrał też główną rolę. To nauczka dla tych, którzy nie doczytali opisu przed wejściem na wydarzenie. Ale też nie dający się z niczym porównać performans. Widzów usadowiono na krzesłach w równych odległościach, w równych rzędach. Zaczyna się niewinnie, od rozkręcania publiczności przez zadawanie pytań i uzyskiwanie odpowiedzi, oglądanie rekwizytów, które każdy z widzów dostał w specjalnej torbie (np. czerwona wstążka – rekwizyt z gimnastyki artystycznej, złote pompony jak u czirлідerek, gazeta), karaoke – śpiewanie frywolnej piosenki. Jednak z każdym kolejnym zadaniem dla widzowni granica się przesuwa. Gdzie? W stronę bachtinowskiego dołu materialno-cielesnego. Dimchev animuje widzownię, stosując chwyt niczym z tradycyjnego wesela: stukanie się „małpkami” z mocnym napojem (25%), stopniowe przełamywanie fizycznych barier między widzami, wspólne śpiewanie coraz przaśniejszych i intymnych emocjonalnie piosenek, coraz ciekawsze choreografie. Nikt nie chce się wyłamać i być popsujabawą, więc uczestnicy brną dalej. Przynajmniej można podrzeć gazetę i rzucać kulkami, albo postrzelać wstążką jak z bicia. Czy chciałabym tam pójść jeszcze raz, jak na „Baz(air)” albo

„Fucking Truffaut”? Nie, bo to wydarzenie nie tyle uwalniające, ile skłaniające do przekroczeń, stosujące nadużycie, niezależnie od tego, czy ktoś lubi taką estetykę, czy nie, bo to już kwestia gustu. Ale „Di Strauss” wpisuje się w program Retroperspektyw jako miejsca, gdzie proponuje się charakterne wydarzenia i mocne rozmowy pospektaklowe, a konwencje i estetyki widzimy w całej ich rozpiętości.

Finałowym wydarzeniem był koncert „Odyseja” Chóru Spółdzielczego Teatru Chorea, prowadzonego przez Grzegorza Wierusa i Elinę Tonevą. Odbył się on w klimatycznej przestrzeni Fuzji, dawnej elektrowni Scheiblera, wysokiej, monumentalnej, z chropowatymi, palimpsestowymi ścianami w środku i odrestaurowanymi witrażami. Kilkudziesięcioosobowy, złożony w trzech czwartych z kobiet chór w różnorodnych kostiumach utrzymany w podobnej gamie kolorystycznej, wykonał pieśni z różnych kręgów kulturowych, prowadzące słuchaczy z ciemności, kakofonii i chaosu do światła i nadziei. Muzykę tworzone na żywo za pomocą niecodziennych instrumentów: didgeridoo (Łukasz Filipow grał na dwóch rurach, jedna to oryginalne drewniane didgeredoo, a druga – „wydumka” zrobiona specjalnie na potrzeby koncertu z rur pcv, wystylizowana na steampunkową rurę wyjętą z instalacji elektrowni), bębnów obręczowych i duduku (Tomasz Rodowicz), harmonium (Maciej Bednarek i Grzegorz Wierus) oraz klawiszy (Grzegorz Wierus).

Usłyszeliśmy pieśni antyczne (Katolophyromai Eurypidesa, Hymn Kuretów), tradycyjną pieśń gruzińską i bułgarską, dwie polskie: „Lament świętokrzyski” i „Tęczę” Marii Konopnickiej. Koncert uwieńczył misteryjny „Hymn do gwiazd” z antycznego zbioru Hymnów Orfickich według Tomasza Krzyżanowskiego. Tomasz Rodowicz podbił przesłanie „Hymnu” – zamiast „pamiętaj o śmierci” czy „vanitas vanitatum” zaproponował „Lśnijmy, póki żyjemy”, tworząc unikatowy pomost między kulturowymi dogmatami i budując perspektywę dającą nadzieję na przyszłość.

Na Retroperspektywach, podobnie jak w latach ubiegłych, mogliśmy zobaczyć absolutnie wyjątkowe artystyczne zjawiska trzymające poziom – nie do zobaczenia gdziekolwiek indziej. Mogą stanowić one inspirację, wyznaczać trendy i kierunki, przewietrzać nasze łódzkie głowy, gusta i przyzwyczajenia. Organizacja i komunikacja podczas festiwalu, jak zawsze, była wzorcowa. Klimat tego interdyscyplinarnego wydarzenia współtworzyły też wieczorne koncerty z DJ-ami, wystawa, niestandardowe rozmowy pospektaklowe, „Tupot”, czyli gazeta festiwalowa i samo miejsce, czyli teren Fabryki Sztuki, wzbogacony tym razem o przestrzeń Fuzji.

Paulina Ilka